

Adam Jawor

1940

RELACJA JANA KAZIMIERZA RUNIEWICZA.

ARCHIWUM WSCHOŃNIE

Urodziłem się w 1919 roku w Tarnopolu. Po ukończeniu szkoły powszechnej zdałem egzamin do I Państwowego Gimnazjum im. Wincentego Pola w Tarnopolu. Po zdaniu matury rozpocząłem studia na Politechnice Lwowskiej. Wziąłem też udział w obozie Legii Akademickiej w Lidzbarku. We wrześniu 1938 roku, w okresie narastającego kryzysu czechosłowackiego, cały wydział mechaniczny Politechniki został wcielony do Mazowieckiej Szkoły Podchorążych Artylerii w Zambrowie. Tam też przeszedłem przeszkolenie unitarne i zostałem skierowany, poprzez Deblin, do I pułku artylerii motorowej w Stryju. W 1939 roku po wybuchu wojny zgłosiłem się na ochotnika i zostałem wcielony do 6 baonu pancerno-motorowego mjr. Rakowickiego i wziąłem udział w walkach na Lubelszczyźnie w okolicach Krasnego Stawu i Krasnika. W czasie tych walk zrzucały przez cały czas ulotki z samolotów zarówno niemieckich jak i rosyjskich wzywające nas do poddania. W miejscowości Hostynne zostaliśmy otoczeni przez rosyjskie czołgi i wzięci do niewoli. Z niewoli uciekam wraz z grupą kolegów w czasie konwojowania nas przez Żydów będących w służbie rosyjskiej. 90 % zabranych z naszej grupy dalej / tj. grupy mjr. Rakowickiego / znajduje się na Liście Katyńskiej. Po ucieczce przez szereg dni ukrywam się, gdyż zobaczyłem na murach i słupach ogłoszeniowych obwieszczenia wzywające wszystkich oficerów, podchorążych i podoficerów do zgłaszania się w wojenkomacie. 26 września w nocy przybyłem do swoich rodziców w Tarnopolu / dotarłem tam przez Berezowicę i Ostrów/. Po przyjeździe do domu rodzice powiedzieli mi, że już nie mam co szukać, gdyż jest tutaj zbyt niebezpiecznie. Na naszej ulicy, czyli Punscherta, usadowiło się NKWD - w dawnym budynku "dwójki". Niebezpieczeństwo groziło mi też ze strony moich gimnazjalnych kolegów - Żydów, których jak pamiętam w mojej klasie na 18 osób było 14. Żydzi

ci współpracowali z Sowietami i wydawali w ręce Rosjan ukrywających się oficerów. Zacząłem się ukrywać u naczelnika Urzędu Miar i Wag na ulicy Punscherta 18, dzięki czemu mogłem się kontaktować z rodzicami, ale z kolei mogłem poruszać się tylko nocą, bo w dzień było niebezpiecznie. Tam też nawiązałem kontakt z Kazimierzem Horodyńskim i Rudolfem Weidlem /mieszkał on na bocznej ulicy od Punscherta tj. Wertebnej/. W mieszkaniu w którym się ukrywałem spotykała się też grupa uczniów z Gimnazjum Wincentego Pola. W gimnazjum tym pojawiłem się, ale zostałem ostrzeżony przez jego dyrektora Dominika Pytla abym się tam nie pokazywał, gdyż wypytywano się o byłych uczniów, którzy byli w wojsku. Spotkałem też jednego Żydkę który spytał się mnie dlaczego nie jestem w wojsku. Odpowiedziałem mu na to, że nie byłem w żadnym wojsku - on na to : przecież napewno byłeś w wojsku. Spotkanie to zmusiło mnie do większej ostrożności w poruszaniu się. Jak już wcześniej wspomniałem cały czas przebywałem w mieszkaniu na ulicy Punscherta 18. Tam też słuchaliśmy radia francuskiego nadającego z Marsylii w języku polskim. Wiadomości te były przepisywane i na ich podstawie powstał pierwszy numer gazetki "Jestem Polakiem" będący w całości poświęcony przemówieniu kardynała Hlonda do Polaków. Maszyny do pisania użyczył nam lekarz mieszkający koło bursy Towarzystwa Szkoły Ludowej - jego nazwiska już nie pamiętam. On też często sam przepisywał na maszynie. Przepisany tekst odbijaliśmy z Horodyńskim na hektografie. Pomagał nam w tym jeszcze jeden kolega, ale jego nazwiska też już nie pamiętam. Gazetka wychodziła w nakładzie 100 egzemplarzy, gdyż nie mieliśmy zbyt dużo papieru, a poza tym dobrą jakość odbitek na hektografie można było osiągnąć tylko do 100 sztuk. Gazetki te kolportowane były we wszystkich gimnazjach na terenie Tarnopola. W naszej gazetce umieściliśmy m. in. informację aby oficerowie nie przychodzili do kościoła na sumę i inne większe nabożeństwa, ponieważ według naszych informacji Rosjanie

mieli wtedy rozpocząć aresztowania. Po przybyciu łącznika z obozu na Węgrzech z Botoszczani / był tam też mój brat / pojechałem do Lwowa na ulicę Piekarską, gdzie był punkt kontaktowy do przerzutu ludzi. Zabierałem ze sobą złotówki, które przekazał mi łącznik, miały być one przeznaczone na pomoc dla rodzin oficerów, którzy przebywali w tym obozie. Nawiązaliśmy też kontakt z ludźmi, którzy mogli przerzucać oficerów. ~~Przerzucanymi mieli być przede wszystkim oficerowie lotnictwa, marynarki i broni pancernej.~~ Przerzucanymi mieli być przede wszystkim oficerowie lotnictwa, marynarki i broni pancernej. Mieliśmy przygotowane listy oficerów, którzy mieli być przerzuceni za granicę, listy te były przez nas na bieżąco uzupełniane. Udałem się do Morszyna, gdzie od pani Andresowej dostałem ~~maniar~~ na leśniczówkę, przez którą przechodzili przygotowani do przerzutu. Było to miejsce bezpieczne, gdyż znajdowało się w znacznej odległości od granicy, a sam kontakt był o tyle ułatwiony, że pani Andresowa pracowała na poczcie w Morszynie. Próby kontaktu z nią nie wzbudzały podejrzeń. Ci którzy przeszli przez ten punkt w większości dotarli do celu. W pierwszym okresie transportowaliśmy ludzi do miejscowości Śniatyn - Załucze skąd odchodził pociąg do Zaleszczyk przez Horodenkę, który to przejeżdżał po torze biegnącym przez skrawek Rumunii. Miał on przystanek w Stefanówce - po rumuńsku Stefanesz. Tam też na postoju ludzie ci wychodzili. Rosjanie ~~przez~~ do końca listopada nie zorientowali się, że ten pociąg przejeżdża przez granicę. Ja w tym czasie odbyłem trasy do Brześcia, Wilna i Pińska. Wszędzie tam odwiedzałem oficerów, którzy mieli być przerzucani przez granicę. Szczególnie dużo przerzucaliśmy ludzi z Dębłina, znaczna ich część znalazła się we Lwowie. W kościele św. Magdaleny we Lwowie mieliśmy punkt kontaktowy, gdzie po zaprzysiężeniu oficerowie ~~ci~~ podążali dalej w stronę granicy. Przerzucane były grupy liczące nawet 40 osób. Spotykaliśmy się na Dworcu Wschodnim lub Głównym we Lwowie, znakiem rozpoznawczym była zazwyczaj butelka

Paternitu, tj. wódki miętówki z Wytwórni Baczewskiego. Na szczęście na dworcu nikt nie wpadł.

1 listopada odbyły się uroczystości na cmentarzu we Lwowie, gdzie na grobach lotników francuskich umieszczony był napis : " Lotniku francuski - na ciebie czeka polski Lwów". Rosjanie jakoś w tym czasie nie interweniowali. Aresztowania rozpoczęły się dopiero po zamachu zorganizowanym z inicjatywy płk. Sokołowskiego na Wandę Wasilewską. Była ona najgorętszą prapagatorką władzy sowieckiej. Sam zamach się nie udał, gdyż Wasilewska nie została zlikwidowana a tylko jej mąż, który otworzył drzwi zamachowcom.

Ja w tym czasie miałem stały kontakt z Tarnopolem, w którym to jednym z punktów kontaktowych było mieszkanie mecenasa Strońskiego będącego przed wojną działaczem SN. Jego mieszkanie znajdowało się w pobliżu kościoła parafialnego. Do Tarnopola przewoziliśmy w tym czasie prasę, którą rozprowadzaliśmy w mieście. Zazwyczaj przywożono niezbyt dużo egzemplarzy ze względu na to, że Rosjanie robili szczegółowe kontrole w pociągach jadących do Tarnopola, głównie miały one miejsce w Złoczowie. Bibuła ta zazwyczaj była zapakowana w egzemplarze rosyjskich gazet, m. in. " Wilna Ukraina" i "Trud". Na rozkaz płk. Sokołowskiego przerzuciliśmy z Tarnopola do Lwowa około 15- 20 karabinów, które to przewoził kolejarz niewiedzący co wiezie. O tym co przewoził dowiedział się dopiero po wojnie we Wrocławiu. Karabiny te odbierał "Fredro", który to mieszkał koło Politechniki, a następnie przenosił je do mieszkania na ulicę Karpińskiego 19 m.3, z którego to przenosili dalej Stachów i Horodyński. Wydawaliśmy w dalszym ciągu "Jestem Polakiem", do grudnia 1939 roku wydaliśmy w sumie 5 numerów. Ja jeździłem do Stryja, gdzie w miejscowych zakładach kolejowych przygotowywane były wagony do wywozu ludzi. Uzgodniłem tam z kierownikiem stolerni, że jak będą zmieniali podłogi w tych

wagonach, to żeby śruby były przykręcane nie od zewnątrz ale od wewnątrz. Umożliwiłoby to wywożonym odkręcenie ich i wydostanie się z wagonów w czasie postojów. Dzięki temu uratowało się wielu ludzi.

Jeżeli chodzi o wpadkę w Tarnopolu znacznej grupy ludzi to stała się ona za przyczyną Żyda Marbacha, który pracował w milicji i był synem właściciela księgarni w Tarnopolu. Był też uczniem naszego gimnazjum. Dowiedziałem się o tym po wojnie, gdy spotkałem się z jednym Żydem, który był lekarzem w Heleniej Górze. Powiedział mi on, że wpadka w Tarnopolu była dziełem owego Marbacha. Po tej wpadce zostaliśmy w zasadzie tylko ja z Horodyńskim i z Hopenem, Kamykiem i Dzirdonowskim.

W tym czasie poświęcaliśmy większość naszej energii na zbieranie informacji dotyczących ewentualnych tras przerzutowych. Przerzucaliśmy też ludzi do Stryja i dalej na Skole i Ławoczną, gdyż okazało się, że przez Ławoczną przechodziły transporty z Rosji na Węgry i jeździli tam nasi kolejarze. Dzięki temu mogliśmy też tymi transportami przetrzucać ludzi, był tylko problem z ukryciem się w wagonach. Jeżeli chodzi o granicę węgierską to w dniu 22 października 1939 roku Rosjanie wydali Węgom w Ławocznem sztandary, które zdobyli na Węgrzech w 1848 roku. W tym czasie licząc na to, że będzie zmniejszona kontrola na granicy próbowała przejść grupa w której znajdował się kardynał Rubin, ale okazało się, że wbrew pozorom kontrola na granicy była zwiększona i grupa ta wpadła. O sprawie tej już wielokrotnie pisano. Natomiast 4 dni wcześniej udało mi się przeprowadzić blisko 36 osobową grupę lotników i mechaników. Przeszli oni uzbrojeni w broń krótką i jeden rkm, a straż graniczna rosyjska była w tym czasie tak słaba, że nie próbowała ich zatrzymać. Ja natomiast wróciłem w tym czasie do Drohobycza i dalej do Borysławia, skąd udałem się do Podkamienia. Przez tę trasę udało się nam przetrzucić wielu ludzi.

Jesienią 1939 roku Rosjanie ogłosili, że kto chce wracać do Generalnej Guberni to może się zgłosić w przedstawicielstwie niemieckim we Lwowie na ulicy Listopada, gdzie robiono spisy chętnych do wyjazdu. We Lwowie spotkałem kolegę, z którym razem studiowałem - Janka Moroza. Stwierdził on, że ponieważ grunt się coraz bardziej pali pod nogami więc może by tak się zdecydować na wyjazd do G.G. Sytuacja była o tyle dziwna, że zwróciliśmy uwagę, że w kolejkach do wyjazdu stali przeważnie Żydzi. Stwierdziliśmy, że jeżeli oni nie boją się tam jechać to dlaczego my mielibyśmy się bać. Zeby się zgłosić do wyjazdu trzeba było otrzymać specjalne drukarki z NKWD, które żądało potwierdzenia w dokumentach, że pochodzi się z terenów obecnej G.G. Tego typu dokumenty mogliśmy wykonać, gdyż posiadaliśmy suchą pieczętkę do wyciskania z napisem : Ubezpieczalnia Społeczna w Krakowie i na dodatek mieliśmy blankiety legitymacji ubezpieczeniowych. Dzięki wystawionym w ten sposób dokumentom wyjechał mój kolega Adolf Jaroszewski. We Lwowie stawało się coraz bardziej niebezpiecznie. Rosjanie urządzali raz za razem "kotły", a szczególnie w okolicach Politechniki i Uniwersytetu. Ja w tym czasie musiałem uważać, gdyż nie mogłem uzyskać na terenie Lwowa stałego zamieszkania. Przez jakiś czas ukrywałem się w mieszkaniu na ulicy Na Zdrowie, tj. bocznej od Reymonta u państwa Blajmów, koło Wytwórni Wody Sodowej. Tam o mało byśmy nie wpadli z Horodyńskim i musieliśmy uciekać po dachach, gdyż cały dom był otoczony. Szukali tych, którzy nie byli zameldowani. Dwa razy chciałem uzyskać zameldowanie, ale niestety nie udało się, gdyż za każdym razem żądali zaświadczenia z wojen-komatu dotyczącego mojej służby wojskowej. Dlatego też zgłosiłem się do Kawy Ruskiej do przedsiębiorstwa, które zajmowało się poszukiwaniem węgla kamiennego. Tam spotkałem profesora Omielińskiego, pochodzącego z Odessy, będącego Polakiem z pochodzenia. Poradził mi on, abym postarał się o rosyjski paszport i zgłosił się na kurs meteor-

logów podając, że jedyne wykształcenie jakie mam to 4 klasy szkoły powszechnej. Zostałem skierowany przez "Fredrę" do konsulatu jugosłowiańskiego przy pasażu Mikulasz. Konsulem był jakiś żydek, do którego ja się zgłosiłem i powiedziałem, że nie chcę wyjechać z Rosji, ale chcę uzyskać podstawę do otrzymania rosyjskiego dokumentu tożsamości. On wtedy stwierdził, że będzie to kosztowało kilka tysięcy rubli i wyciągnął mapę Jugosławii, powiedział żebym wskazał palcem na jakiś punkt. Wskazałem na miejscowość Wielika ^{KIKINDA} Kreginica, województwo Subotnica. Od niego otrzymałem paszport konsularny, z którego wynikało, że urodziłem się w Jugosławii, a obecnie zamieszkuję na Ukrainie. Mając ten paszport w ręku udałem się komendy milicji, aby uzyskać odpowiednie dokumenty tożsamości, wypełniłem w tym celu odpowiednie druki, a ponieważ w lutym 1940 roku Sowieci zawarli z Jugosławią traktat i miejscowy komandir przyjął mnie bardzo wylewnie - a ja już miałem w razie czego obstawę, która miała mnie odbić. Otrzymałem paszport, z którego wynikało, że jestem obywatelem jugosłowiańskim, który stale zamieszkuje na terenie Ukrainy. Potem zgłosiłem się na kurs służby meteorologicznej, na którym było nas chyba 18 osób, w większości po 5 lub 6 latach szkoły powszechnej. Wraz ze mną uczęszczał na ten kurs mój kolega adwokat, który tak jak i ja podał, że ma za sobą 4 klasy szkoły powszechnej. Na tym kursie było wesoło, gdyż uczono nas podstaw fizyki i matematyki i oczywiście meteorologii, którą ja miałem na studiach na Politechnice. Kurs ukończyłem z oceną bardzo dobrą i jako obcokrajowiec mogłem starać się o miejsce pracy na samej granicy. Wybrałem Worochtę, gdyż była tam stacja meteorologiczna przed wojną. Udałem się tam na początku sierpnia 1940 roku. Zameldowałem się tam, rzecz jasna, jako Jugosłowianin. Recepcjonistka w hotelu była mocno zdziwiona, że tak dobrze mówię po polsku, ale jakoś jej to wytłumaczyłem. Rozpocząłem pracę, pracował ze mną też jeszcze jeden Polak, który w tym

czasie, gdy ja przyszedłem zaczął ściągać ze ściany święte obrazy, a na puste miejsca wieszać portrety Stalina i Lenina. Nie miałem żadnych problemów z poruszaniem się w strefie granicy, gdyż pogranicznicy wiedzieli, że jestem meteorologiem i robię badania. W tym czasie udałem się też do Jaremcza, gdzie omówiłem sprawę przerzutów ludzi i przywoziłem też meldunki, które przychodziły do Polski przez Worohę i które trzeba było dostarczyć do Lwowa. Rzecz jasna we Lwowie wiedzieli, gdzie ja przebywam, ale ja nie mogłem się we Lwowie pokazywać, gdyż obawiałem się rozpoznania. Dlatego też zawoziłem je do Morszyna. W tym czasie były we Lwowie dwie organizacje. Jedna samodzielna, a druga podporządkowana Warszawie. Między nimi dochodziło do tarć, ale mnie to nie interesowało, gdyż zależało mi wtedy głównie na przerzutach jak największej liczby ludzi. Sam też nawiązałem kontakty z Zarządem Lasów Państwowych, gdzie był tartak, w którym to istniała polska organizacja, z tym że kontakt ten nawiązać było bardzo trudno ze względu na to, że przecież oficjalnie nie byłem Polakiem. Potraktowano mnie początkowo bardzo nieufnie, tak że nawet moja przyszła żona nie chciała ze mną rozmawiać. Wszystko się jakoś ułożyło. Ja co tydzień udawałem się do Jaremczy do ekspozytury ZWZ-u. Jako środek łączności używaliśmy też telefonów, gdyż mieliśmy swoich na poczcie. Nasze główne zadanie to były przede wszystkim jednak przerzuty. W trakcie okupacji sowieckiej przerzuciłem około 155 ludzi, na co mam potwierdzenie. Przez nasz teren przechodzili też kurierzy z pieniędzmi na potrzeby organizacji, z tym że był to przeważnie złoty polski, który już w tym czasie nie miał żadnego znaczenia w Rosji. Dlatego też zgłoszono do Budapesztu, aby nie przywozić tych złotych na daremno. Mieliśmy dość dobry kontakt ze Lwowem i dlatego też bardzo dziwiliśmy się, że ludzie ze Lwowa przechodzili przez Przemyśl i dalej do Krakowa, skąd przez Tatry dopiero przekraczali granicę słowacką i następnie udawali

się na Węgry. A u nas było przecież bliżej i była tylko do przekroczenia tylko jedna granica. Szczególnie grupa warszawska we Lwowie nie miała zaufania do naszych przejść granicznych i wybierała trasy znacznie dłuższe i bardziej skomplikowane. Oprócz kontaktów ze Lwowem mieliśmy też kontakt ze Stanisławowem i ze Stryjem. Od stycznia 1941 roku zostałem zaangażowany jeszcze na pół etatu do służby meteorologicznej dla lotnictwa i dlatego też oprócz meldunków do Kijowa musiałem wysyłać je też do Moskwy. Przed wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej o mały włos byśmy nie wpadli. Wpadł kurier, ^{u Stanisławowie} który wydał, że miał się udać do Worohy do stacji meteorologicznej i zapytać się, czy jest do sprzedania motocykl. Na 10 dni przed wojną, gdy szedłem z żoną z kościoła podeszło do mnie dwóch tajniaków rosyjskich, którzy kazali mi pójść z sobą na posterunek milicji. Ci tajniacy byli z Nadgórnej, a ja w tym czasie posiadałem dwa dowody osobiste; jeden rosyjski a drugi wydany w Jaremczu na to samo nazwisko, z tym że tam posażo, że jestem urodzony w Tarnopolu i zamieszkały w Worohcie. Ten drugi dowód miałem przygotowany na wejście Niemców, którego spodziewaliśmy się, a jak wiadomo Niemcy w tym czasie zajęli Jugosławię. W czasie przesłuchania zaczęli sprawdzać dokładnie moje dane. Zauważyłem, że zaczęli dobrze trafić, ale na szczęście udało mi się jakoś wykręcić. Jeżeli chodzi o sprawę hasła z motocyklem, to stwierdziłem, że przecież w stacji meteorologicznej nie posiadamy żadnego motocykla i być może, że na ten temat wie coś mój pracownik, który mieszka przy stacji. Został on wzięty na milicję i strasznie pobity, ale nic nie mógł powiedzieć, gdyż nic nie wiedział. O tym za co dostał dowiedział się ode mnie dopiero później na Węgrzech. Ja natomiast zauważywszy, że coraz bardziej nas rozpracowywują zacząłem się ukrywać przez kilka dni w strefie nadgranicznej i zszedłem do Worohy tuż przed wkroczeniem Węgrów. Gdy zapytałem komendanta miejscowych pograniczników,

czy wie że wybuchła już wojna to on powiedział mi wtedy, że nie, gdyż nie ma jeszcze gazet z Moskwy, które by o tym mówiły. Rozmowa ta miała miejsce już po wybuchu wojny. 28 czerwca 1941 roku wkroczyły jednostki węgierskie. Rosjanie zdążyli jeszcze wysadzić mosty i zniszczyć trakcje kolejowe, a po dwóch, czy trzech dniach przyjechał kapitan Kernemi - węgierski oficer, który w czasie I wojny światowej był łącznikiem z Legionami Polskimi i był w 1914 roku w Korohcie i znał moją teściową. Zamieszkał u niej w jej pensjonacie "Lena", który odzyskała. Kernemi mówił, że póki będą tutaj Węgrzy to nie mamy się czego obawiać, ale gdy przyjdą Niemcy to musimy uciekać. Jednostki niemieckie ostatecznie weszły 23 sierpnia 1941 roku. Ja w tym czasie już przekraczałem granicę węgierską. Wysłałem też wiadomość do Stryja, że nie ma mnie już w Korohcie i że podążam na Węgry. Granica była wolna i poza tym szedłem sobie wzdłuż linii telefonicznej. Zgłosiłem się do pana Pacholego, przedwojennego strażnika celnego, który w tym czasie był pełnomocnikiem do przerzutu ludzi / razem przeszło nas około 6 osób/. Wreszcie znaleźliśmy się w Budapeszcie, gdzie zostaliśmy przesłuchani przez ekspozyturę "dwójki". Następnie zgłosiłem się do pani Lazar, której brat mgr. Blajm, mieszkał na ulicy Na Zdrowie - na której ja się ukrywałem w czasie mojego pobytu we Lwowie. Od niego miałem też adres jego siostry. W mieszkaniu tym mieściła się komórka do przerzutu oficerów na teren Polski wchodząca w skład bazy przerzutowej "Liszt". Tam poznałem płk. Matuszczaka i płk. Korkowicza. W czasie służby w bazie "Liszt" poznałem też płk. Studzińskiego / późniejszego Komendanta Armii Krajowej Okręgu tarnopol/. Płk. Studziński ~~był~~ przebywał na granicy w okolicach Człeket, ze względu na to, że dwukrotnie w ciągu kilku tygodni próbował ją przekroczyć. Przeprowadzić go miał kurier Łożański, ale obydwaj nie wytrzymali psychicznie, tak że w końcu musiał go przeprowadzić ktoś inny. Ja go odstawiłem do

Bańskiej Bystrzycy, skąd przejął go kurier, który prowadził go dalej. Jego przerzut był dla nas o tyle trudny, gdyż ciągle chciał wracać do Budapesztu. Nie był on przygotowany do życia pod okupacją. Przypuszczał, że w Małopolsce Wschodniej, na teren której miał przybyć, będą panowały takie realia, w których trudno mu będzie się znaleźć. Będąc w bazie "Liszt" przerzuciłem ponad 30 osób. 28 grudnia ¹⁹⁴⁴ do Budapesztu zaczęli wkroczać Rosjanie. My natomiast na polecenie płk. Matuszczyka i Korkozowicza zajęliśmy budynek, na którym umieściliśmy napisy w kilku językach, że jest on pod opieką sprzymierzonych i wywiesiliśmy flagi polską, rosyjską, angielską, amerykańską. Gdy pojawił się pierwszy żołnierz rosyjski, pamiętam dobrze, że przyjechał na rowerze bez opon, to wskazaliśmy mu drogę do centrum Budapesztu. Po przyjęciu Rosjan zostałem zatrudniony przy rosyjskim wojsku jako tłumacz i otrzymałem odpowiednie zaświadczenie dotyczące mojej pracy. Gdy jednostka, w której pracowałem podążyła na Wiedeń, to próbowali mnie zabrać ze sobą, ale ja się z tego jakoś wykręciłem. Wyżej wspomniane zaświadczenie pozwoliło mi uniknąć wcielenia do różnego rodzaju przymusowych robót na rzecz Armii Sowieckiej. Gdy wróciłem do Polski, to rozpocząłem pracę w zakładzie transportu w Elblągu. Z czasem powierzono mi funkcję dyrektora technicznego. W 1951 roku zostałem aresztowany pod zarzutem sabotażu sprzętu wojskowego, który ~~XXX~~ szedł do Korei. W tym czasie nasz zakład dostał polecenie od ówczesnego wiceministra transportu Burgina przygotowania do wysłania na front koreański półtora tysiąca samochodów. Ściągano wszystko, co się dało - nawet samochody straży pożarnej i innych miejskich służb. Część przywieziono na holu. W czasie rozprawy postawiono mi jeszcze zarzut dezercji z wojska rosyjskiego, a także przerzucanie oficerów do Rumunii i Węgier - stwierdzono - na służbę wywiadu angielskiego, oraz doszedł do tego zarzut działalności na szkodę ZSRR. Na procesie dostałem karę śmierci

zamienioną później na 15 lat więzienia. Wyszedłem z więzienia po śmierci Stalina.

JAN KAZIMIERZ RUMIEWICZ

WROCZĄW

ULICA PANKIEWICZA 41